

RED. RYSZARD WOJNA

Publicysta i komentator polityczny, głównie z zakresu problematyki niemieckiej. Zastępca redaktora naczelnego „Życia Warszawy”. Współpracownik „Trybuny Ludu”. Autor m.in. pracy pt. *Spokojnie płynie Ren*.

Układ między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Republiką Federalną Niemiec z 7 grudnia 1970 r. należy do dokumentów, które nie tylko potwierdzają istniejącą rzeczywistość — w tym przypadku przebieg granicy polsko-niemieckiej — ale które jednocześnie działają na rzecz przekształcenia charakteru stosunków między obu stronami. W tym sensie nie ma on charakteru statycznego i jego ocena nie może zawęzić się do analizy samego tekstu, lecz musi uwzględniać dynamikę faktów przezeń zrodzonych, ich kierunek i efekty. Dlatego słuszną jest inicjatywa „Przeglądu Zachodniego”, by oceny tej dokonać z perspektywy dwudziestu lat i to w momencie, gdy państwo zachodnioniemieckie — w wyniku przyłączenia się doń Niemieckiej Republiki Demokratycznej — rozprzestrzenia się aż po naszą granicę zachodnią. Stawia to w nowym świetle pytanie obchodzące nie tylko prawników, jak dalece ta poszerzona Republika Federalna Niemiec, z którą zawarliśmy układ w 1970 r., mający cechy układu granicznego, jest nowym podmiotem prawa międzynarodowego, biorąc pod uwagę, że połączenie obu państw dokonuje się w oparciu o art. 23 konstytucji RFN.

Chciałbym zacząć od akcentu osobistego. Należę do tej grupy ludzi, którzy zawodowo zajmują się problemami polsko-niemieckimi. Jako publicysta pragnąłem oddziaływać na opinię naszych krajów w duchu porozumienia, a dokonujące się w ostatnim ćwierćwieczu przemiany w stosunkach polsko-niemieckich zmieniały również mnie i mój stosunek do niektórych spraw. *Tempora mutantur sed nos mutamur in illis*. Piszę więc z pozycji człowieka zaangażowanego, który dużą część swego życia związał z tematyką wynikającą bezpośrednio z Układu.

Idea nawiązania dialogu między Warszawą a Bonn poczęła tworzyć się od połowy lat sześćdziesiątych. Wielkie wydarzenia historyczne mają to do siebie, że kilka ciągów przyczynowo-skutkowych dojrzewa naraz — niekiedy podskórnym — i tworzy jakościowo nową sytuację. W owym czasie było już oczywiste, że zimna wojna ani nie przybliży realizacji narodowych celów polityki RFN — na fali konfliktowego *Abgrenzung* NRD umacniała swoją podmiotowość — ani nie tworzy podstaw dla racjonalnego ułożenia stosunków między Republiką Federalną a Związkiem Radzieckim i pozostałymi państwami Układu Warszawskiego. Pomijam tu

już wszystkie inne negatywne aspekty zimnej wojny, a przede wszystkim nakręcanie spirali zbrojeń zarówno konwencjonalnych, jak i atomowych.

Silnym impulsem do przewartościowania istniejącego stanu rzeczy między Polakami a Niemcami były dwie niemal równoczesne inicjatywy kościelne. 14 października 1965 r. Kościół ewangelicki w RFN ogłosił memorandum *O sytuacji wypędzonych i stosunku narodu niemieckiego do jego sąsiadów wschodnich*, postulujące pojednanie z Polską i dopuszczające uznanie granicy na Odrze i Nysie za ostateczną. W granicy tej ewangelicy rzecznicy porozumienia z Polską (należał do nich wówczas również dzisiejszy prezydent RFN Richard von Weizsäcker) upatrywali „karę bożą” za zbrodnie popełnione przez niemiecki faszizm na Polakach.

W niewiele ponad miesiąc później (18 XI) biskupi polscy wystosowali list do episkopatu RFN z apelem o przewycięzenie wrogości między naszymi narodami w oparciu o zasadę „przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Było to oczywiście odwołanie się do fragmentu modlitwy: „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”.

Krytyczny stosunek władz polskich do owego listu w niczym nie pomniejszył jego znaczenia w RFN — przeciwnie — uwypuklił wielkość gestu polskiego Kościoła. W. Gomułka zarzucił autorom listu chęć uprawiania polityki zagranicznej, będącej domeną państwa. Moim zdaniem, głównym jednak powodem jego wzburzenia była gotowość biskupów do przebaczenia bez uzyskania w zamian od Niemców świadczeń materialnych. I sekretarz KC PZPR był jednocześnie przeświadczony, że zwrot „przebaczamy” uraził część opinii polskiej.

25 marca następnego roku rząd kanclerza Erharda wystosował tzw. notę pokojową, sugerującą współpracę z Polską na gruncie wyrzeczenia się użycia siły, przy podtrzymaniu jednak bońskiej tezy o istnieniu Niemiec w granicach z 1937 r. Temu stanowisku rząd polski przeciwstawił niezmiennie konieczność formalnego uznania granicy na Odrze i Nysie, co w owym czasie było dla Bonn jeszcze nie do zaakceptowania.

Dla uważnego obserwatora stawało się jednak jasne, że poza tym sztywnym trwaniem Warszawy i Bonn na dotychczasowych pozycjach dokonywało się już poszukiwanie formuły — i to po obu stronach — która mogłaby prowadzić do zawiazania dialogu. Motywacje ku temu były wprawdzie różne, a nawet sprzeczne ze sobą, ale przecież zarysowująca się na naszym kontynencie możliwość odprężenia niosła ze sobą konieczność znalezienia formuły umożliwiającej rozmowy między Polską a RFN. Leżało to w interesie całej Europy. Brak stosunków dyplomatycznych oraz kwestionowanie przebiegu zachodniej granicy Polski przez Republikę Federalną stawały się jedną z głównych przeszkód dla wspólnego bezpieczeństwa europejskiego, które przyjęło wkrótce potem postać Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie.

W marcu 1968 r. przewodniczący SPD, a zarazem minister spraw zagranicznych w rządzie „wielkiej koalicji” Willy Brandt wypowiedział się na zjeździe swej partii w Norymberdze za „uznaniem bądź respektowaniem” linii Odry—Nysy do czasu traktatu pokojowego.

Był to przełom w dotychczasowym stanowisku bońskim. Brandt zasygnalizował to nam parę miesięcy wcześniej, już w roli ministra, przy okazji przyjęcia mnie w Związku z zakończeniem pracy w Bonn w charakterze korespondenta „Życia Warszawy”. Gotowość do „tymczasowego” uznania przy jednoczesnym braku widoków na traktat pokojowy w obliczalnej przyszłości — zresztą wówczas już niewielu wierzyło, że w ogóle kiedyś do niego dojdzie — wprowadzała Bonn na drogę wiodącą do pogodzenia się z „normatywną siłą faktów”. Sformułowanie to było wtedy modne nad Renem.

Przełom wyrażony przez Brandta wyrastał z nowej strategii SPD wobec państw Układu Warszawskiego. Jej motywem przewodnim było hasło „zmiana przez zbliżenie”. Autorstwo tej formuły przypisywano Egonowi Bahrowi. Jej celem było zbliżenie z NRD i doprowadzenie do szerokiej wymiany osobowej, aby w ten sposób zahamować dalsze rozchodzenie się dwu państw niemieckich, a nade wszystko zapobiec groźbie biologicznego podziału narodu. (W owym czasie tylko emeryci mieli w NRD możliwość odwiedzenia RFN. W miarę starzenia się wygasały związki pokrewieństwa pierwszego stopnia, a liczba młodych małżeństw między obywatelami obu państw była niemal równa zeru). Kierownictwo SPD zdawało sobie sprawę, że owa „zmiana (charakteru stosunków z NRD) przez zbliżenie” jest możliwa tylko pod warunkiem generalnej zmiany stosunków między Bonn a Związkiem Radzieckim, Polską i Czechosłowacją. Kontakty z Węgrami, Rumunią i Bułgarią nie były obciążone konfliktami.

Przypomnienie tego właśnie dzisiaj ma swój sens. Celem *Ostpolitik* zachodniemieckich socjaldemokratów była przede wszystkim odbudowa zjednoczonych Niemiec. Był to cel niezmienny od 1946 r., wytyczony przez Kurta Schumachera. W tym sensie SPD była bardziej konsekwentną i wiarygodną wyrazicielką niemieckiego patriotyzmu, aniżeli CDU Adenauera, która *de facto* współpracowała z komunistami w dziele podziału Niemiec.

Wszystko inne było wówczas dla socjaldemokratów pochodną kwestii narodowej, w tym również stosunki z Polską. Nie powinno to jednak przesłaniać głębokich motywacji moralnych, jakimi w działaniach na rzecz porozumienia z Polakami kierowali się i kierują liczni działacze SPD, szczególnie ci związani blisko z Kościołem ewangelickim.

Dzisiaj, w 23 lata po otwarciu przez socjaldemokratów nowej *Ostpolitik*, wiemy, że koncepcja ta przyniosła Niemcom oczekiwane owoce — stała się jednym z ważnych argumentów, przy pomocy których Zachód

rozmiększał” stosunki wewnątrz tzw. krajów realnego socjalizmu. Strategia SPD tworzyła sieć gęstych kontaktów między naszą częścią kontynentu a RFN, sprzyjała rozbijaniu struktur stalinowskich. W ramach ziałań „zmiana przez zbliżenie” do społeczeństwa Europy Środkowej i Wschodniej szerszym strumieniem docierała prawda o wyższej efektywności ustroju demokracji parlamentarnej, opartego na systemie „społecznej gospodarki rynkowej”. Zacieśnienie współpracy poszczególnych państw Układu Warszawskiego z Bonn musiało w przyszłości prowadzić również do osłabienia i izolowania stalinowsko-pruskiej drogi do socjalizmu realizowanej w NRD. Bez SPD-owskiej *Ostpolitik* nie byłoby dziś zjednoczenia Niemiec. Poprzednia linia chadecka, wytyczona przez Adenauera, współgrała z zimnowojennymi strukturami stalinowskimi, utrwalającymi podział Niemiec i Europy.

Kiedy się dziś zastanawiam, czy przygotowując się w Polsce do rozmów z Republiką Federalną, mających doprowadzić do uregulowania naszych stosunków na gruncie pogodzenia się Bonn z granicą na Odrze i Nysie, zdawaliśmy sobie sprawę ze wszystkich dalekosiężnych implikacji, jakie zawierał w sobie anons *Ostpolitik* w końcu lat sześćdziesiątych, to muszę stwierdzić, że motywacje przyświecające SPD były — w każdym razie dla mnie — już wtedy dość czytelne. Wiedzieliśmy, że chodzi o zjednoczenie Niemiec i zmianę układu sił w Europie na niekorzyść (realnego) socjalizmu. Niektórzy nasi eksperci zwracali przy tym uwagę na nieuchronnie negatywne skutki uznania poczdamskiej granicy Polski dla stosunków polsko-radzieckich. Dla tej bowiem części opinii polskiej, która ustosunkowywała się krytycznie do socjalizmu, zagrożenia płynące z roszeń niemieckiego rewizjonizmu były przekonywającym argumentem za przyjaźnią i sojuszem z ZSRR. Z chwilą odpadnięcia tej motywacji PZPR musiała dokonać przebudowania argumentacji w propagowaniu bliskich związków z Krajem Rad. (Znamienna była przy tym częściowa zbieżność wywodów neoendekkich oraz partii PZPR za przyjaźnią i sojuszem ze Związkiem Radzieckim. Wspólnym mianownikiem było poczucie zagrożenia granicy zachodniej, a także poczucie doznanych krzywd od Niemiec i Niemców).

A mimo to grupy ekspertów, którym kierownictwo partii zleciło przygotowanie różnych wariantów platformy dialogu z RFN, opowiadały się — o ile wiem, jednomyślnie — za podjęciem rozmów zmierzających do zawarcia traktatu. Przyczyny tego były wielorakie i przedstawienie ich wiązałoby się z omówieniem całokształtu ówczesnej polskiej polityki wewnętrznej i zagranicznej. Dlatego też ograniczę się do wskazania tego, co wysuwało się w naszych dyskusjach na plan pierwszy.

Polska była zawsze głęboko zainteresowana odprężeniem. Leżało ono w najszerzej pojętym polskim interesie. Jednym z warunków wkroczenia

Europy na tę drogę była normalizacja stosunków między Warszawą a Bonn. Konieczność ta stała się jeszcze bardziej oczywista z chwilą wy-stosowania przez państwa Układu Warszawskiego (17 III 1968) apelu o podjęcie prac nad zwołaniem Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Dodajmy, że przy całej zależności polskiej polityki zagranicznej od radzieckiej Warszawa dążyła niezmiennie do jesieni 1956 r. do poszerzenia zakresu kontaktów z Zachodem (*exemplum* — plan Rapackiego), upatrując w tym ważny element polskiej racji stanu.

Równolegle do tego występował nacisk sytuacji gospodarczej. Tzw. mała stabilizacja, odczuwana w społeczeństwie jako zastój, rodziła w wielu środowiskach krytyczny ferment. Okres powojennej odbudowy kraju oraz kładzenia fundamentów pod uprzemysłowienie Polski dobiegł końca. Nadanie rozwojowi gospodarki nowego impetu wiązało się z koniecznością uzyskania z zewnątrz środków finansowych oraz dostępu do zachodnich technologii. Władysław Gomułka i jego otoczenie upatrywało możliwość osiągnięcia tego w nawiązaniu stosunków z RFN, zakładając, że wyjście naprzeciw nowej *Ostpolitik*, a tym samym wydanie Republice Federalnej właśnie przez Polskę „zaświadczenia przyzwoitości”, czyli zaliczenie RFN do grona państw „przyzwoitych” (*Salonfähig*), z którymi były ofiary hitleryzmu mogą utrzymywać normalne stosunki, będzie honorowane odpowiednimi świadczeniami finansowymi i gospodarczymi. Dodam, że w wyobraźni ówczesnych przywódców polskich jawiły się nie-realnie wysokie sumy marek, które miałyby płynąć z RFN do Polski.

Należałem do jednej z kilkusobowych grup ekspertów, które kierownictwo partii obarczyło zadaniem analizowania przemian w polityce bońskiej oraz poszukiwania formuły dla nawiązania z Bonn dialogu. Spotykaliśmy się co parę tygodni w warunkach, które miały uniemożliwić podsłuch. Chodziło o utrzymanie polskich intencji w tajemnicy przed Moskwą. Gomułka miał bowiem dane, by zakładać, że Breżniew zamierza wyjść z inicjatywą rozmów z RFN i że chciałby je prowadzić w imieniu całego obozu. Warszawa nie mogła nie upatrywać w tym nawrotu do starych niedobrych tradycji, kiedy o sprawach ważnych dla Polski decydowały uzgodnienia niemiecko-rosyjskie czy niemiecko-radzieckie. Dla Gomułki było nie do przyjęcia, by akceptacja granicy na Odrze i Nysie przez RFN została dla Polski wynegocjowana przez ZSRR. Uznanie tej granicy Polska musiała uzyskać bezpośrednio od Niemców. Dlatego Gomułka postanowił uprzedzić inicjatywę radziecką i samemu wcześniej zaoferować Bonn propozycję bilateralnego dialogu. W przygotowanie tej operacji włączone było tylko najbliższe otoczenie I sekretarza. Koordynatorem działań był Zenon Kliszko.

I tak doszło do wysunięcia przez Gomułkę 17 maja 1969 r. na wiecu przedwyborczym w Warszawie propozycji zawarcia z RFN układu w spra-

wie uznania granicy na Odrze i Nysie. Breżniew dowiedział się o tym z gazety.

Polska oferta rozmów wywołała duże zainteresowanie w Republice Federalnej i stała się od razu jednym z głównych tematów zaczynającej się właśnie kampanii wyborczej do *Bundestagu*. *SPD* i *FDP* opowiedziały się za podjęciem rozmów, co znalazło szerokie poparcie w społeczeństwie. Był to m.in. efekt wyteżonej pracy Kościoła ewangelickiego i owoc jego memorandum. Sprawa stosunku do rozpoczęcia dialogu z Polską stała się główną linią podziału w tych wyborach.

Ich wynik odebrał władzę chrześcijańskiej demokracji, która dzierżyła ją nieprzerwanie od momentu powstania RFN. Jedną z przyczyn przegranej *CDU* były jej własne trudności w przystosowaniu się do perspektyw zakończenia zimnej wojny. Powstała nowa koalicja — *SPD* z liberalną *FDP*. Kanclerzem został Willy Brandt. Przedstawiając 28 października 1969 r. w *Bundestagu* program nowego rządu umieścił w nim również gotowość do podjęcia rokowań z Polską.

Na jakie opory natrafiała ta deklaracja nad Renem świadczy moja przygoda. W połowie listopada tegoż roku otrzymałem od nowego kanclerza zaproszenie przybycia do Bonn i przeprowadzenia z nim wywiadu, o który ubiegałem się wcześniej, dla „Życia Warszawy”. Do tej pory żaden kanclerz Republiki Federalnej nie zwracał się tą drogą do opinii polskiej. Wystąpiłem natychmiast o wizę i mimo moich ponagleń nie otrzymałem jej w potrzebnym terminie. Na dwie godziny przed odlotem samolotu zatelefonowałem do Urzędu Kanclerskiego w Bonn komunikując, iż nie zjawię się tam. W pół godziny potem odezłono mi, bym przyjeżdżał bez wizy. I tak się stało. Na lotnisku czekał na mnie sekretarz Brandta, tłumacząc się, iż nie wszystkie ogniwa maszyny państwowej włączają się ochoczo do *Ostpolitik*...

Rokowania, które zaczęły się w lutym 1970 r. ujawniły zaraz zasadniczą różnicę koncepcji wyjściowych. Dla Polski punktem odniesienia był Układ Zgorzelecki z NRD z 1950 r. Pragnęliśmy po prostu uznania naszej granicy zachodniej również przez drugie państwo niemieckie. Republika Federalna natomiast, zasłaniając się swą doktryną prawnopństwową, chciała zobowiązać się tylko do rezygnacji z użycia siły, odraczając definitywne załatwienie problemu granicy dopiero do czasu zjednoczenia Niemiec. W istocie więc obie strony dążyły do jakościowo różnych traktatów, będąc jednocześnie świadome, że są skazane na konieczność znalezienia układowego *modus vivendi*.

Zaczęte później i toczące się równolegle rokowania niemiecko-radzieckie nie natrafiały na podobne trudności i 12 sierpnia nastąpiło w Moskwie podpisanie układu między ZSRR a RFN, bazującego na rezygnacji z użycia siły we wzajemnych stosunkach. Jednocześnie w tymże układzie Re-

publika Federalna uznała za nienaruszalną granicę na Odrze i Nysie oraz granicę między RFN a NRD.

Stało się to, czego Gomułka pragnął uniknąć: uznanie nienaruszalności naszej granicy zachodniej uzyskaliśmy od RFN *via* Moskwa. ZSRR wystąpił w roli hegemonu obozu socjalistycznego, który „załatwił” problemy graniczne swych „podopiecznych” — Polski i NRD. Republika Federalna natomiast podkreślała w ten sposób i uznawała przewodnią rolę Związku Radzieckiego w obozie socjalistycznym.

Skutki tego nie dały długo na siebie czekać. Na przełomie sierpnia i września boński MSZ wystąpił wobec Warszawy z sugestią przejęcia gotowych sformułowań Układu Moskiewskiego i rozwiązania w ten sposób trudności, jakie powstały w rokowaniach polsko-niemieckich. Rząd RFN tą drogą pragnął zablokować żądanie Warszawy, by dokument wynegocjowany z Polską miał cechy układu o uznaniu przebiegu linii granicznej. Takie zaś było kateryczne stanowisko strony polskiej. Nie przypadkiem Władysław Gomułka formułując propozycję dialogu z Republiką Federalną powołał się na wzorzec Układu Zgorzeleckiego z NRD.

Zamysł polski był przejrzysty: oba państwa niemieckie będące sukcesorami III Rzeszy muszą podpisać się pod taką samą formułą uznania granicy, by — jeśli dojdzie kiedyś do ich zjednoczenia — oba miały wpisane w swoją „hipotekę” to samo zobowiązanie prawnomiędzynarodowe wobec zachodniej granicy polskiej. Stąd nacisk polskich negocjatorów, by art. 1 Układu mówił o uznaniu przez RFN granicy na Odrze i Nysie określonej postanowieniami Umowy Poczdamskiej. Dyplomaci bońscy natomiast dążyli do wpisania w treść art. 1 postanowień o rezygnacji z użycia siły we wzajemnych stosunkach.

Na propozycję przejścia tekstu moskiewskiego Gomułka zareagował wręcz gniewnie. Otrzymałem wówczas polecenie przygotowania projektu listu premiera Józefa Cyrankiewicza do kanclerza Willy Brandta jasno stawiającego sprawę: nie ma mowy, by strona polska zgodziła się na przejęcie koncepcji i sformułowań układu RFN-ZSRR. Układ między Polską a RFN albo będzie mówił o uznaniu przez Republikę Federalną istniejącej zachodniej granicy Polski, albo nie będzie go wcale.

List ten został wysłany. Postawił on autorów nowej *Ostpolitik* w trudnej sytuacji. Przypisywali oni układowi z ZSRR decydujące znaczenie, określając go mianem *Dachvertrag*, układu dachowego nad układami z Polską, NRD i Czechosłowacją. Odmowa strony polskiej zmuszała ich do zmiany koncepcji, tj. do indywidualizacji negocjacji z każdym z poszczególnych partnerów na wschodzie. Nie wystarczyła więc jedna formuła o rezygnacji z użycia siły uzgodniona z Moskwą, lecz zaistniała konieczność uwzględnienia specyfiki spraw i interesów między każdym z tych państw a Republiką Federalną.

Był to bardzo ważny moment w długim procesie wybijania się Polski po II wojnie światowej na niepodległość. Warszawa *de facto* zakwestionowała uprawnienia ZSRR do ryczałtowego załatwienia i uregulowania stosunków z RFN w sposób obowiązujący jego sojuszników. Ponadto dzięki stanowisku polskiemu Berlin i Praga otrzymały możliwość wzięcia swoich problemów z RFN we własne ręce. Powiększony został w ten sposób margines samodzielności naszych sąsiadów — zachodniego i południowego.

Rząd Brandta nie mógł odrzucić stanowiska polskiego. Groziłoby to załamaniem nowej strategii wobec ZSRR i jego sojuszników. Pominięcie zaś Polski w systemie układów wschodnich RFN było nie do pomyślenia.

Z tego co wiem, Bonn liczyło pierwotnie na pewną presję wywartą przez ZSRR na Polskę. Jednakże Moskwa zachowywała się w owym czasie wobec Warszawy powściągliwie. Obie strony — polska i radziecka — utrzymywały w tej materii bliski kontakt, ale sprowadzał się on tylko do wzajemnego informowania się o zajmowanych stanowiskach. Był to ogromny postęp w stosunku do czasu, kiedy uzgadniano taktykę każdego posunięcia, nie mówiąc już o apriorycznym założeniu zgodności strategii. Taktyka Gomułki, wynikająca z jego szczególnego uwrażliwienia na stosunki polsko-niemieckie oraz przeświadczenia, że nie wiadomo jeszcze jak potoczą się losy sąsiedztwa niemiecko-polsko-rosyjskiego, doprowadziła do pewnego rozregulowania stosunków między Warszawą a Moskwą. Dla Gomułki polska racja stanu stała ponad więziami ideologicznymi obu rządzących partii: W tym kontekście warto chyba przytoczyć opinię, jaką w końcu grudnia 1970 r. można było słyszeć na korytarzach gmachu KC PZPR: — Breżniew nie wybaczył Gomułce samodzielności w rozgrywce niemieckiej i dlatego nie stanął w jego obronie...

Parafrazując włoskie powiedzonko „jeśli nawet to nieprawda, to jest to dobrze wymyślone”, można by rzec, że nawet jeśli nie mamy danych, by móc wiązać upadek I sekretarza KC PZPR z brakiem wsparcia ze strony sekretarza generalnego KC KPZR, to jest oczywiste, że to usamodzielnienie się polskiej polityki zagranicznej, osiągnięte właśnie w pertraktacjach z RFN, musiało być odebrane w Moskwie jako poważne naruszenie radzieckiego *leadership* w obozie socjalistycznym.

W początkach października rozmowy polsko-niemieckie zostały ponownie podjęte, tym razem na gruncie stanowiska polskiego. Art. 1 Układu miał mówić o granicy.

Czy wynegocjowany i podpisany uroczyście 7 grudnia 1970 r. w Warszawie Układ jest doskonały w sensie konstrukcji prawniczej i czy odzwierciedla pełnię polskich interesów? Dzisiaj możemy powiedzieć, że nie. Nie znaczy to, by polscy specjaliści od tej materii mieli dotąd inny na to pogląd. Tymbardziej, że ratyfikacja Układu przez *Bundestag* stała



się możliwa dopiero po przyjęciu „rezolucji” (*Entschließung*), która prowadziła do zrelatywizowania całego sensu dokumentu, z punktu widzenia polskiego bowiem odraczała definitywne uznanie granicy aż do traktatu pokojowego, czyli — być może — *ad calendas Graecas*. Taka niemiecka wykładnia była dla nas i jest całkowicie nie do przyjęcia. Ale rzecz w tym, że w naszych polemikach z Republiką Federalną na ten temat — a toczą się one nieprzerwanie od momentu podpisania układu — jak gdyby abstrahowaliśmy ze względów swoistego oportunistycznego od treści art. IV, stwierdzającego, że „niniejszy Układ nie dotyczy wcześniej zawartych przez Strony lub ich dotyczących dwustronnych lub wielostronnych umów międzynarodowych”. W rozumieniu strony niemieckiej chodziło tu przede wszystkim o *Deutschlandvertrag*, zawarty między Republiką Federalną a trzema zachodnimi mocarstwami zwycięskimi, w którym to dokumencie Bonn uzyskało od swych sojuszników formalne poparcie dla swej doktryny prawnopanstwowej, a więc łącznie ze zjednoczeniem Niemiec i kwestią granic.

Bez art. IV Układ nie doszedłby jednak do skutku. Dla RFN byłby nie do zaakceptowania choćby tylko ze względów na wewnętrzną politykę. Negocjatorzy polscy nie mieli innego wyjścia jak przystać na wpisanie w traktat „furtki”, w którą wciskać się mogła opaczna z jego sensem interpretacja art. 1.

Dostarczył on zachodnioniemieckim prawnikom argumentu, że art. IV osłabia w decydujący sposób sformułowanie figurujące w art. 1, w którym obie strony zgodnie stwierdziły, iż „istniejąca linia graniczna... stanowi zachodnią granicę państwową Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. RFN — dowodzili — nie była w prawie i w mocy „uznać” tę granicę, a jedynie „potwierdzić”, że linia Odry-Nysy jest zachodnią granicą Polski. Uprawnionym do wypowiedzenia się w sprawie granicy niemiecko-polskiej może być tylko rząd zjednoczonych Niemiec.

Wszystko to razem nie było jednak w stanie podważyć argumentacji polskiej, stwierdzającej, iż w układzie tym RFN uznała naszą granicę zachodnią nie tylko jako nienaruszalną, ale również jako nieodwracalną, rezygnując w tymże art. 1 z jakichkolwiek roszczeń terytorialnych i z wysuwania ich w przyszłości. Stanowisko nasze było i jest powszechnie przyjmowane w świecie jako jedynie zgodne z logiką prawa międzynarodowego.

Myśląc jednak w kategoriach historycznych trzeba było zdawać sobie sprawę, że tak długo jak długo z porządku dnia nie została zdjęta sprawa zjednoczenia Niemiec — a nie zezwalała na to polityka bońska, której wpływy w świecie zachodnim nieustannie rosły. Polacy nie mogli zadowalać się uznaniem granicy przez NRD i RFN, skoro Republika Federalna głosiła, że ostateczny głos należeć będzie do zjednoczonych Niemiec. Sy-

tuację polityki polskiej utrudniało przy tym rozdrażnienie naszego zachodniego sojusznika nawet hipotetycznym rozważaniem ewentualności zjednoczenia Niemiec. Od jednego z ambasadorów NRD w Warszawie usłyszałem gorzki wyrzut: — Z waszego stanowiska przebija niewiara w trwałość istnienia NRD. Wasze nerwowe reakcje na wystąpienia rewizjonistyczne nad Renem podważają w oczach naszego społeczeństwa autorytet socjalistycznego państwa niemieckiego, które przecież jest gwarantem nienaruszalności niemiecko-polskiej granicy.

Dodajmy, że m.in. właśnie ze względu na wolę umacniania NRD w rozgrywce z RFN oficjalnym założeniem polskiej polityki zagranicznej było potwierdzanie trwałości istnienia dwu państw niemieckich na gruncie podziału Europy oraz *status quo* ustrojowego na naszym kontynencie. Ta fundamentalna teza nie zezwalała nam na inicjowanie dyskusji z Bonn prowadzącej do zabezpieczenia naszych interesów na wypadek zjednoczenia Niemiec. Musieliśmy liczyć się z bieżącymi interesami NRD, choć bardzo często nie pokrywały się one z naszymi. Zresztą polityka całego obozu, a przede wszystkim ZSRR, miała na względzie niepodważanie pozycji NRD. Jej przywódcy umieli to wykorzystywać na rzecz partykularnych interesów swego państwa. Tak np. Polska ponosiła przez długie lata ciężkie straty w obrotach handlowych z Berlinem Zachodnim, musząc akceptować arbitralne rozstrzygnięcia władz NRD jeśli chodzi o opłaty za drogi tranzytowe, opłaty celne itp. Polskie protesty przybierały tylko charakter poufnych not. W stosunku do Polski Berlin kierował się założeniem, że we wszystkim co wiąże się z kwestią niemiecką rozstrzygający głos mają władze NRD. Nie dotyczyło to oczywiście Moskwy, która zresztą od początku lat osiemdziesiątych, czyli od początku kryzysu ustrojowego w Polsce, z nie ukrywaną sympatią przyjmowała zabiegi Honeckera o zajęcie drugiego miejsca w Układzie Warszawskim, przynależnego do tamtej pory Polsce.

Wszystko to razem sprawiało, że na bońskie wywody, iż o ostatecznym uznaniu granicy Odra—Nysa zadecydować mogą dopiero zjednoczone Niemcy, przedstawiciele Polski mogli odpowiadać w kularowych rozmowach tylko jednym argumentem: — w ten sposób umacniacie w Polsce opory przeciwko zjednoczeniu.

Odbyłem kiedyś taką rozmowę z Aloisem Mertesem, sekretarzem stanu z ramienia CDU w bońskim MSZ. Było to na kilka miesięcy przed jego śmiercią. Zapytałem go otwarcie: — Wiecie przecież, że nasza granica zachodnia jest ostateczna i nieodwracalna, że jest to granica pokoju europejskiego. Rząd RFN jest tego świadom i dlatego zmuszony jest ją uznawać. Dlaczego zatem odmawia sobie wyrażenia czegoś na kształt deklaracji intencji, iż również w wypadku zjednoczenia granica polsko-niemiecka pozostanie nie zmieniona. Odebralibyście w ten sposób wiatr z żagli tym

siłom w Polsce, które w zjednoczeniu upatrują przede wszystkim zagrożenie dla naszej granicy.

Odpowiedział mniej więcej tak: — Rzeczywiście, zdajemy sobie sprawę, że tej granicy nie można zmienić. Jakież jednak mamy inny środek nacisku, by zmusić was do uznania naszego prawa do zjednoczenia, niż ten, że w zamian za pogodzenie się kiedyś z tym faktem uznamy tę granicę, czyniąc jednocześnie wszystko, by stała się otwartą na ruch ludzi i idei.

Wtedy ja — i zapewne on — sądziłem, że kwestia zjednoczenia nie stoi na horyzoncie przewidywalnego czasu. Nikt nie przypuszczał, że połączenie obu państw dokona się w sposób żywiołowy, że przesądzą o tym sami Niemcy, zostawiając czterem mocarstwom zwyczajnie tylko znalezienie formuł, w jakich będzie to przyjęte przez nie do wiadomości.

Tak więc przez cały czas od momentu podpisania Układu w grudniu 1970 r. mieliśmy do czynienia z dwiema sprzecznymi ze sobą wykładnikami art. 1. A mimo to tak różne interpretowanie sensu tego dokumentu nie było hamulcem w niezmiernie szybkim rozwoju stosunków między obu państwami i społeczeństwami. Podpisanie Układu można porównać do otwarcia śluzy w tamie, która blokowała dojrzewającą pod wpływem różnych czynników — po stronie polskiej głównie gospodarczych — potrzebę wchodzenia w coraz bliższy kontakt. Bardzo szybko Republika Federalna stała się pierwszym partnerem Polski na Zachodzie we wszystkich dosłownie dziedzinach — wymiany gospodarczej, osobowej, obrotu pocztowego, prezentacji kultury polskiej.

Ten często żywiołowy rozwój dokonywał się mimo braku podstawowych regulacji prawnych. Na tej bowiem płaszczyźnie bońska wykładnia Układu oraz orzecznictwo Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe hamowały skutecznie budowę normalnej infrastruktury układów i porozumień, jaka istnieje między wszystkimi państwami.

W okresie, gdy kanclerzem w Bonn był socjaldemokrata, obie strony usuwały problemy sporne jakby w cień, kładąc akcent na rozwoju współpracy gospodarczej oraz poszerzanie zakresu kontaktów między społeczeństwami. Gdy do władzy doszła ponownie chrześcijańska demogracja, a stało się to w momencie, gdy Zachód zastosował kwarantannę wobec władz Polski Ludowej w związku z wprowadzeniem stanu wojennego, słą rze czy na plan pierwszy wysunęła się znówu stara materia konfliktowa. Rząd kanclerza Kohla, a szczególnie jego minister spraw wewnętrznych, Zimmermann, z całą otwartością powrócił do nagleśniania starych tez na temat granicy z 1937 r. i wynikających z tego rzekomo konsekwencji dla byłych niemieckich obszarów na wschodzie. Polska nie mogła w tym nie widzieć nawrotu fali rewizjonizmu. Rzecznikom utrzymania *status*

quo ustrojowego, czyli partyjnemu „betonowi”, było to zresztą na rękę, a rychło poczęło być kłopotliwe także dla Kohla z uwagi na międzynarodowe tego echa.

Próbą znalezienia wyjścia — bez rezygnacji z chadeckich pryncypiów w tej sprawie — była inicjatywa wiceprzewodniczącego frakcji CDU/CSU w Bundestagu Volkera Rühego, by przy interpretacji Układu kłaść nacisk na jego wiążącą treść polityczną, a nie na wykładnię prawną. (Te samą myśl, choć innymi słowami, wyraził prezydent R. von Weizsäcker w przemówieniu wygłoszonym z trybuny bońskiego parlamentu w 40. rocznicę bezwarunkowej kapitulacji Niemiec).

Polscy komentatorzy przyjęli to życzliwie, jednakże ostra reakcja niemieckiej prawicy, przede wszystkim CSU, zmusiła autora tej pojemnej formuły do wycofania się z niej. W chadecji zwyciężyło i obowiązywało do początków 1989 r. stanowisko następujące: RFN nie ustępuje ani na jotę ze swych roszczeń prawnych, a jednocześnie przedkłada rozwój kontaktów ze społeczeństwem polskim ponad szukanie porozumienia z rządem PRL w spornych kwestiach prawnych. U podstaw tej linii istniało — moim zdaniem — przeświadczenie, że ze społeczeństwem polskim będącym w opozycji do władz państwa RFN porozumie się znacznie łatwiej niż z „komunistycznym rządem”. Trzeba przy tym dodać, że niektóre środowiska ówczesnej opozycji w Polsce wychodziły w tamtym czasie takiej tezie naprzeciw. Potrzeba było dopiero wizyty kanclerza Kohla w Polsce, by obie strony — chadecka oraz siły, które reprezentuje Tadeusz Mazowiecki — zdały sobie sprawę z błędu w ocenie sytuacji. Do ekipy kierowniczej CDU z dużymi oporami dotarła w końcu — ale dotarła! — świadomość, że między uporczywym trwaniem na stanowisku określanym przez Polaków jako rewizjonistyczne a deklarowaniem chęci pojednania z narodem polskim istnieje zasadnicza sprzeczność, której nie usuną najbardziej wzniosłe deklaracje.

Jeśli zaś chodzi o obóz rządzący w Polsce, wywodzący się z „Solidarności”, to jego prasowi rzecznicy przestali po wizycie Kohla w Warszawie rozwodzić się nad instrumentalną funkcją wrogości do RFN podtrzymywaną ponoć w przeszłości sztucznie przez PZPR z myślą o utrzymaniu się przy władzy w oparciu o sojusz z ZSRR, gwarantujący Polsce bezpieczeństwo przed Niemcami. Przejęcie odpowiedzialności za państwo i jego bezpieczeństwo doprowadziło do głębokich przewartościowań w łonie byłej opozycji. Ujawniło się to szczególnie wyraźnie na płaszczyźnie stosunków polsko-niemieckich. Chadecja niemiecka musiała dostrzec, że Polacy są dużo bardziej jednomyślni w podstawowych kwestiach dzielących ich z Niemcami, niż niektórzy nad Renem to zakładali.

Ale trzeba też podkreślić, że pewne problemy sporne, które od wielu

lat działały jątrząco na stosunki między obu państwami, weszły na drogę naturalnego ich rozwiązywania z chwilą przebudowy ustroju Rzeczypospolitej Polskiej w duchu demokracji parlamentarnej. Dotyczy to przede wszystkim problemu tej grupy obywateli polskich, którzy poczuwają się do związków z niemieckością. Jest to jednak temat tak obszerny, iż wykracza on poza ramy niniejszego artykułu. Ograniczę się tylko do wyrażenia troski, by implikacje z tym związane nie stały się w bliskiej przyszłości cierniem w procesie porozumienia polsko-niemieckiego.

Wszystkimi sprawom i problemom wynikającym z Układu z 1970 r. nowego wymiaru nadało łączenie się dwu państw niemieckich. Jak wspominaliśmy już, między SPD-owską *Ostpolitik*, która otworzyła „drzwi” do zawarcia Układu oraz rozwiniętym na tej bazie szerokim procesem kontaktów społecznych z jednej strony a szybko postępującą erozją — szczególnie w Polsce — społecznego wsparcia dla „realnego socjalizmu” z drugiej strony, istnieje związek przyczynowo-skutkowy. Nie był on oczywiście jedynym, który doprowadził do tak gruntownej zmiany krajobrazu politycznego w Europie Środkowej i Wschodniej, ale ściśle współgrał z wielkimi procesami historycznymi, jakie się obecnie dokonują. W tym sensie można stwierdzić, iż wyjście przez Polskę naprzeciw socjaldemokratycznej doktrynie „zmiana przez zbliżenie” prowadziło nie tylko do potęgowania się przewartościowań w relacjach socjalizm-gospodarka wolnorynkowa, lecz działało rozsadzająco na cały obóz socjalistyczny, w tym także na NRD. Należy też przypomnieć, że mur berliński pękł najpierw na granicy węgiersko-austriackiej oraz wokół ambasady RFN w Warszawie. Otworzenie tych dróg wyjazdowych do Republiki Federalnej dla obywateli NRD uczyniło dalsze istnienie muru w Berlinie bezprzedmiotowym. Tym samym zaistniały warunki dla wyzwolenia się spontanicznych działań prowadzących w 45 lat po zmiążdzeniu hitlerowskiej Rzeszy Niemieckiej do odbudowy jednego państwa niemieckiego. Okazało się, że siłą wiodącą i stymulującą myśli i działania Niemców ku przewyciężeniu podziału nie był socjalizm, mimo iż narodził się on w XIX w. z najszlachetniejszych pobudek na ziemi niemieckiej oraz że Piemontem niemieckiej jedności nie mogła stać się NRD, chociaż taka intencja przyświecała jej tworzeniu. Tą ideą sprawczą była idea demokracji reprezentowana przez Republikę Federalną Niemiec.

Gorzkie to wyznanie dla piszącego te słowa. Ale jednocześnie niech mi wolno będzie przypomnieć i mocno podkreślić, że zarówno ja, jak i inni moi koledzy, komentatorzy polscy specjalizujący się w tematyce niemieckiej, nie traktowaliśmy problemów polsko-niemieckiego porozumienia i pojednania w kategoriach ideologicznych czy ustrojowych, lecz narodowych. I tak też podchodziła do tego większość publicystów zachodniemieckich, kierujących się w swym piarstwie wartościami moralny-

mi, by wspomnieć przykładowo tylko dwa nazwiska — Marion hr. Dönhoff oraz Peter Bender. Antagonizmy polsko-niemieckie, mające głębokie źródła w tysiącletniej historii sąsiedztwa przepełnionego konfliktami, ale także obfitującego w bardzo owocną współpracę w tworzeniu wspólnej cywilizacji europejskiej, przewijały się przez nasze dzieje niezależnie od form ustrojowych. Toteż chyba wszyscy, którzy brali udział — i to po obu stronach — w wypracowaniu Układu oraz wdrażaniu go w życie występowali w roli przedstawicieli swych narodów, a nie systemów. To stanowiło też o zasadniczej różnicy między wszelkimi pertraktacjami na linii Warszawa-Bonn, a tymi między Bonn a Berlinem. NRD finalnie przegrała rozgrywkę z RFN, bo przegrał jej system. Dla Polski Układ z Republiką Federalną pozostanie na zawsze w historii naszej dyplomacji kartą jasną, kartą zwycięską. Układ ten nie tylko wprowadził państwo zachodnioniemieckie na drogę do uznania „poczdamskiej” zachodniej granicy Polski, ale również zabezpieczył nasz kraj w oparciu o te siły w Niemczech, które dokonały teraz zjednoczenia Niemiec, a tym samym weszły w bezpośrednie sąsiedztwo z nami. Jednocześnie Układ z 1970 r. był i pozostanie afirmacją woli obu stron dokonania zwrotu w dziejach współżycia naszych narodów.

Biorąc pod uwagę, że w wyniku przyłączenia się NRD do RFN nie powstał nowy niemiecki suweren, jak kiedyś sądzono w Bonn, a tym samym nie zaistniał problem przenoszenia obligacji prawnomiędzynarodowych ciążyących na Republice Federalnej na jakiś nowy niemiecki podmiot prawa międzynarodowego, Układ o normalizacji stosunków między Polską a RFN nie przechodzi do archiwum, lecz zachowuje swoje niezmiennie aktualne treści. Wolno zakładać, że odtąd — po formalnym uznaniu przez demokratycznie wybrane parlamenty obu państw niemieckich ostatecznego i nieodwracalnego przebiegu granicy polsko-niemieckiej, punkt ciężkości przesunie się z art. 1 na art. 3 Układu, który warto tu powtórzyć:

„1. Polska Rzeczpospolita Ludowa i Republika Federalna Niemiec będą podejmować dalsze kroki zmierzające do pełnej normalizacji i wszechstronnego rozwoju swych wzajemnych stosunków, których trwałą podstawę będzie stanowić niniejszy Układ.

2. Są one zgodne co do tego, że we wspólnym ich interesie leży rozszerzenie ich współpracy w zakresie stosunków gospodarczych, naukowych, naukowo-technicznych, kulturalnych i innych”.

Istniejąca obecnie wspólnota wartości demokratycznych i cywilizacyjnych między Rzeczpospolitą Polską a Republiką Federalną Niemiec tworzy jakościowo nową platformę dla tej współpracy.